

„Strażnik”

Nazywam się Marek Edelman. Urodziłem się na Białorusi, w Homlu. Kiedy wybuchła wojna miałem 20 lat. Mój tata, zmarł jak miałem 5 lat. Nie bardzo go pamiętam. Moja mama pracowała jako intendentka w szpitalu dziecięcym. Była działaczką kobiecej organizacji socjalistycznej.

Należała do Bundu. Raz chciała mnie zabrać na olimpiadę robotniczą do Wiednia w 1933 roku, żeby mi pokazać prawdziwy socjalizm, ale wolałem pojechać na obóz z koleżankami. Mama zmarła w 1934 roku. Gdy robiłem maturę, w 1939 roku, to uznałem, że trzeba pójść na grób matki i pochwalić się, że zdałem.

W domu mówiliśmy po rosyjsku. Dopiero jak poszedłem do szkoły CISZO, na Karmelicką 29, nauczyłem się polskiego. Wtedy też nauczyłem się mówić po żydowsku. To był język wykładowy, ale czytać w jidysz nigdy się dobrze nie nauczyłem. Potem uczyłem się w Gimnazjum Spójni i Zgromadzenia Kupców. Niewiele się tam nauczyłem. Miałem bardzo ciężko, bo była to szkoła, w której panowało ONR. Tam było okropnie, bo bili Żydów. Po śmierci mamy zamieszkałem u jej przyjaciół. Towarzysze z Bundu zastępowali mi rodziców.

To oni mnie nauczyli pewnego sposobu życia: wrażliwości społecznej, tego, jaki mieć stosunek do ludzi i co w życiu jest ważne. Należałem do Cukunftu. Pracowałem w firmie, gdzie kazali mi sumować długie kolumny liczb a ja zawsze robiłem błędy, więc mnie wyrzucili. Zanim wybuchła wojna byłem nikiem, chłopakiem po maturze, bezczelnym, niewychowanym i bez pracy.

W przeddzień wybuchu wojny, pustym pociągiem wróciłem do Warszawy, z wakacji w Broku nad Bugiem. Przyjaciele mamy uciekli do Wilna, a moi koledzy wyjechali. Zostałem sam. Dr Anna Helerowa, dyrektorka szpitala na ul. Siennej, dała mi pracę gońca, w szpitalu gdzie dawniej pracowała mama. W getcie mieszkiałem na Dzielnej, niedaleko szkoły. W pustej szkole na Karmelickiej znalazłem kiedyś powielacz i tak się zaczęło wydawanie „Biuletynu”, nielegalnej gazety Bundu. Rutka, moja koleżanka z obozu Skifu, słuchała w piwnicy radia, potem pisała wiadomości, a ja je powielałem i kolportowałem. Potem ekipa się rozrosła. Jako goniec w szpitalu, miałem przepustkę za mur. Nosilem codziennie krew do laboratorium na Nowogrodzką. Tu miałem krew, a tu gazetki. Mogłem się poruszać po mieście i kontaktować z polskim PPS. Mogłem uciec, ale uciec to nie jest sztuka. Pewnie: można zostawić wszystkich, żeby jedli te zupy z owsa. Ale człowiek ma jakieś zobowiązania wobec tych ludzi. Byłem wtedy gnojkiem, ale czułem się odpowiedzialny za tych Żydów, którzy nie wiedzą co ich czeka. Zresztą, w getcie toczyło się normalne życie. Ja w dodatku zawsze uważałem, że Żydzi mają być w Polsce, z tym narodem i że będzie dobrze. To teraz jak tu biją, to ja mam uciekać? Czułem się odpowiedzialny za ten interes.

Szpital dziecięcy na Siennej był moim azylem. Niezwykli lekarze, którzy ryzykowali życiem, kiedy ich prosiłem, aby komuś pomóc nielegalnie. Stamtąd dostałem numerka życia, który chronił mnie od pójścia na Umschlagplatz w 1942 r. Zawsze się zastanawiam dlaczego doktor naczelna dała mi numerka życia. Przecież w szpitalu byłem tylko gońcem. Po wojnie jej syn

mówił, że mama postawiła, że my przeżyjemy i że coś jeszcze w życiu osiągniemy. W tej grupie z numerkami była też min. dr Anna Margolisowa i jej córka Ala (pielęgniarka). Później moja żona, Inka (Adina Blady Sz wajgier), nasza łącznika po aryjskiej stronie. Jako goniec ze szpitala, stałem na Umschlagplatzu i wyprowadzałem chorych. Nasi ludzie wyławiali tych, których miałem uratować, a ja ich (jako chorych), wyprowadzałem.

Musiąłem wybierać ...

W grudniu 1942 wszedłem do sztabu ŻOB. Z całej piątki byłem najstarszy, miałem 22 lata. Teraz to my byliśmy prawdziwą władzą w getcie. Nazywali nas „partią”. Gdy partia coś kazała, było to wykonywane. Kiedy 19 IV wybuchło powstanie, nie marzyliśmy o polskich czy angielskich komandosach, którzy przyjdą nam z pomocą. Śniła nam się broń. Nie chodziło o to, aby dojść do celu, ale o to, żeby iść po słonecznej stronie. Wygrać nie mogliśmy, ale chcieliśmy iść po słonecznej stronie. Godność i człowieczeństwo: tego broniliśmy. Nasz teren to było tak zwane getto fabryki szczotek. Franciszkańska, Świętojerska, Bonifraterska. Brama była zaminowana. Wybuchła. Po wybuchu min zaczęli nas zdobywać tyralierą, rozproszonym liniowym szykiem bojowym piechoty. Bardzo nam się to podobało. My w czterdziestu, ich stu, cała kolumna, w szyku bojowym, skradają się. Widać, że nas traktują poważnie. Getto płonęło, a całe 60 tys. ludzi schowało się w bunkrach.

Trzeciego dnia, po drugiej stronie muru, zobaczyliśmy karuzelę. Myśleliśmy sobie: my tutaj się palimy, palą się całe ulice, giną ludzie, a tamci się bawią. To jest natura człowieka. Człowiek nie widzi tego, co go nie dotyczy. Widzieliśmy ludzi, muzyka grała i strasznie

żeśmy się bali, że oni nas nie zauważą. Że w ogóle nikt nas nie zauważy - nas, walki, poległych...

1 maja wysłaliśmy z Celiną i Anielewiczem ludzi na aryjską stronę, żeby znaleźli jakąś drogę odwrotu. Byliśmy już prawie bez amunicji. Droga kanałami przez getto trwała całą noc.

Następnego dnia czekaliśmy przy włączu na ul. Prostej zmęczeni, głodni, przemoczeni. Wydawało nam się, że będziemy wychodzić w nocy. Stać w kanale było trudno. Dziesięć osób poszło do tyłu usiąść na schodach. Nagle o 10 rano otwiera się włącz i Kazik mówi: wychodzimy i jedziemy. A tu brak nam tych 10 osób. I Szlamek Szuster, szesnastoletni chłopak, najlepszy przyjaciel Kazika, poszedł po te osoby. Tymczasem wszyscy szybko wychodzą, trzeba poczekać jeszcze chwilę, a kierowca nie chce czekać, rusza samochód, zatrząskuje się kłapa i oni zostają w kanale.

I co dalej?

Po wyjściu z kanału ukrywałem się po polskiej stronie. W powstaniu warszawskim walczyłem na Starówce, a potem ukrywałem się na Żoliborzu. Stamtąd wyprowadziła mnie z zabandażowaną głową, Alina Margolis (moja późniejsza żona). Miałem bardzo żydowskie rysy twarzy i trzeba było je schować. Nie wyjechałem z Polski, a moja żona z dziećmi tak.

Nie wyjechałem, bo zostałem pilnować grobów. Po wojnie pracowałem jako kardiolog w Łodzi. Byłem aktywnym uczestnikiem przemian w Polsce demokratycznej. Mówią o mnie „strażnik pamięci”. Dla mnie obchody rocznicy powstania w getcie i mówienie o tym, ma tylko jeden sens: przypomnienie światu, że ludobójstwo jest zbrodnią przeciwko samej istocie człowieczeństwa i że nie można być bezkarnie obojętnym świadkiem, bo wychodzi się z tego okaleczonym. Dlatego dla dobra nas samych nie powinniśmy patrzeć na dzisiejsze zbrodnie w milczeniu, tak jak patrzono przed laty na Holocaust. Musi powstać jakiś ruch, zdolny wymuszać na rządach demokratycznej, sytej Europy czynne przeciwstawianie się ludobójstwu i pomaganie ofiarom.

Laura Rasmussen

monolog biograficzny inspirowany historią Marka Edelmana

Projekt jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy